

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

12 Fotografii pięknego młodzieńca było kilka-naście. Amatorskich i artystycznych różnego formatu i w rozmaitych pozach. Na jednej uśmiechał się uroczy wojak w mundurze „strzeleckim”, trzymający w ręku czapkę z orzełkiem, na drugiej przedzierzgał się w żołnierza austriackiego, aby na innej znów ukazać się jako „cywil” poważny, skupiony, zadumany nad otwartą na stole książką. Nie brakło też zdjęć, świadczących o zamiłowaniu sportowych portretowanego. Można go było podziwiać w turystycznym stroju na tle górskiego krajobrazu jako narciarza w białym „sweaterze” i jako cyklistę na rowerze.

Na małym, misternym stolczku umieszczono w ozdobnych, stylizowanych ramkach przeszklone zdjęcie, gdzie tenże mężczyzna czarował widza pełną wdzięku współczesną postawą wśród osypanych kwieciami drzew sadu.

Fotografie wszystkie były efektowne i świadczyły, że spoglądający z nich piękny pan lubi uwieczniać swoją fizygnomię i umie pozować.

Osobliwej tej galerii dopełniał jeden malutki portrecik ukryty w medalionie, zawieszonym na szyi Wandy.

Różia uśmiechnęła się wchodząc.

— Pan Rawicz panuje niepodzielnie w twoim pokoju, Wandziu. A to nowy nabytek... Nie widziałam jeszcze tego portretu — wskazała na portret olejny nad biurkiem.

— Prawda, jaki piękny? — powiedziała Wanda, sławiając na stole tacę z podwieczorkiem.

Pytanie to zadane było takim tonem, że niewiadomo było, do czego się właściwie odnosi: czy do artystycznej wartości obrazu, czy do modelu.

— Rzeczywiście, piękny — odparła przyjaciółka w ten sam enigmatyczny sposób.

— Malował go... — Wanda wymieniła nazwisko sławnego malarza. — Sam zaczął Kazika na ulicy i prosił, żeby mu się pozwoliło portretować. Mówił, że dawno nie udało mu się spotkać twarzy tak wyrazistej i tak idealnie malarzkiej. Kazik będzie mu pozował jeszcze do kompozycyjnego obrazu, który pójdzie na wystawę.

Czarne oczy dziewczyny, utkwione w portret, błyszczały promiennie, podobne do oczu Gruzinek, o których poeta rosyjski, Lermontow, powiedział, że „jest w nich noc i przeglądają się gwiazdy”.

Przez chwilę Borowicka stała pogrążona w niemej kontemplacji obrazu, a rozmarzony uśmiech szczęścia błędził po jej wargach.

— Wystygnie ci kawa — zauważyła Różia — a mówiłaś, żeś głodna.

— Prawda! Strasznie mi się jeść chce! Pij kawę, Różka. Pyszna, prawdziwa, a nie żaden „ersatz”.

Wanda wypila szybko, niemal pożądlwie kawę i zjadła swoją kromkę chleba. Potem zwróciła się ku przyjaciółce, która jadła także, w milczeniu, powoli.

— Gadażże, Różia, co się z tobą dzieje... Rzadko teraz do nas zachodzisz. Co prawda trudno mnie w domu zastać, chyba wieczorami. Dzisiaj wyjątkowo mam mniej lekcji, boć to świąteczny tydzień.

— Ale i ty przecież chodzisz do konserwatorium?

— A chodzę, chodzę. Stary Szczygłowski za każdym razem mi powtarza: „panno Wando, panno Wando, na miłość Boską, talent talentem, a ćwiczyć trzeba!” A tu ani czasu na porządne ćwiczenie, ani sił nawet. Bo jak się człowiek przez cały dzień nasłucha bębnienia, to aż w głowie huczy.

— Wandziu! Zmiłuj się, nie zaniedbuj twojej muzyki! Ty powinnaś, ty musisz wykształcić się na prawdziwą artystkę.

— Aha! Nie zaniedbuj!... Łatwo to powiedzieć. No, ale mniejsza z tem. Mówmy teraz nie o mnie, ale o tobie. Jakąś nieszczęśliwą minę masz, Różeczko. Co ci jest?

— O tem by dużo mówić. Ja przedewszystkiem przyszłam do ciebie z prośbą.

— No?

— Choć ze mną do teatru jutro.

— Do teatru? A co grają?

— „Księża Marka”.

— Dobrze, mogę iść, tylko skromniutko, na „galanteryę”.

— Oczywiście. Dziękuję ci.

— Nie masz za co dziękować. Ale co ci się tak nagle tego „Księża Marka” zachciało? Byłaś na tem już kilka razy.

Różia przez małą chwilę zawahała się z odpowiadaniem.

— Widzisz, umówiłam się z Tadkiem Dowgirdem, że przyjdzie po mnie po teatrze.

— Ooo! To Dowgird jest?

— Dostał urlop na kilka dni, a nam tak trudno widywać się. Ja muszę, rzecz proszę, ukrywać się przed rodzicami, a Tadek także przed swoją matką, bo ona nienawidzi mnie.

— A to jakaś zła, czy głupia baba — oburzyła się Wanda — że się na tobie poznać nie umiała.

— Nie mów tak. To kobieta dobra i szlachetna. Wiem o tem. Ale czyż można dziwić się jej, że nie chce mieć za synową... Goldbaumówny...

— Co tam Goldbaumówna, czy Diamantblumówna! Nie o nazwisko przecież powinno chodzić ani o genealogię, tylko o człowieka!

— Ależ pani Dowgirdowa mnie nie zna.

— To dlaczego sądzi, nie znając? I już ja postaram się poznać z nią i powiem jej, co o tem myślę!

— Dajże spokój, Wandziu! Wdzięczna ci jestem za dobre chęci, ale toby nie miało sensu i napewno chybiłoby celul — hamowała poryw przyjaciółki Różia, bo znając zapalczywość Wandy, wiedziała, że u niej od słowa do czynu niedaleko.

— I tyś przez nią, biedaczko, płakała? Bo widzę, żeś płakała... — Wanda miękkiem, siostrzanym ruchem pogłaskała ją po twarzy.

— Nie, to nie przez nią. To znów co innego. Miałam dzisiaj przeprawę z ojcem.

— Cóż zaszło tak specjalnego? — zapytała panna Borowicka, przyzwyczajona do tego, że stosunki pomiędzy Różią a jej rodzicami nie należą do najserdeczniejszych.

— Wiesz, ojciec kupił ten dom, w którym mieszkamy.

— Tak? I Barciszewski mu sprzedał? — zdziwiła się przyjaciółka. — To bardzo źle z jego strony. Przepraszam cię, że to odnosi się do twojego ojca, ale...

— Niepotrzebnie przeprasz, rozumiem cię w zupełności. Ja, będąc Barcikowskim, nie sprzedałabym. Ojciec chce wykorzystać brak mieszkań w mieście i podnieść znacznie czynsze od Nowego Rokn. A że większość lokatorów to ludzie mniej zamożni, ciężko pracujący, którzy w obecnych warunkach...

Nie dokończyła zdania, bo w tej chwili drzwi uchyliły się i ukazała się w nich filuterna twarzyczka najmłodszego bratiszka Wandzinego, Mieczysia.

— Wandziu, pan Kazimierz przyszedł.

Wanda zerwała się z krzesła i wybiegła, pozostawiając koleżankę samą.

Kiedy wróciła po upływie kilku minut, wszedł za nią oryginał tych wszystkich portretów i portrecików, zdobiących pokój panny Borowickiej.

Kazimierz Rawicz pochylił przed przyjaciółką narzeczonej głowę o pięknie zarysowanej, răsowej, nieco wydłużonej czaszce i uściśnął jej dłoń ręką długą, wąską, białą, miękką, bardzo starannie widocznie pielęgnowaną.

Przez króciutką, jak drgnienie powieki, chwilę zatopił spojrzenie swoich szafirowych, głęboko osadzonych oczu w ciemnych, aksamitnych źrenicach dziewczyny i przesunął nieznacznie wzrokiem po okrągłych, łoczonych kształtach, zaznaczających się poprzez tkaninę sukni.

Potem równie dyskretnie, ukradkowe wejrzenie rzucił w lustro. Śnać tafla zwierciadlana wykazała mu jakąś drobną niedokładność uczesania, bo przesunął ręką po włosach bujnych, ciemnych, z niezwykle, fryzjerską prawie starannością przyglądanych nad pięknem, wysokim czołem myśliciela.

Ten manewr nie uszedł uwagi Rózi. Zaciśnęła usta, aby powstrzymać cisnący się na nie drwiący uśmieszek.

Mało znała Rawicza i kilka razy zaledwie miała sposobność go obserwować. Zawsze jednak uderzało ją i raziło to nadmierne wymuskanie

w ubiorze i całej postaci u człowieka pracującego poważnie naukowo.

Mimowoli, gdy patrzyła na niego, nasuwał się jej pamięci epigramat Słowackiego:

„Mała jest wada strój modny, nowy,
Lecz gdyby ujrzał cud Mojżeszowy,
Myślałby o tem modniś zalekły,
Że gdyby ukląkł, portki by pękły!”

Kazimierz usiadł i strzepnawszy palcami jakiś niewidzialny pyłek ze swych bez zarzutu skrojonych i doskonale zaprasowanych spodni, zwrócił się do Rózi i gładkim frazesem rozpoczął rozmowę.

Wanda tymczasem pochwyciła ze stołu opróżnione szklanki i pobiegła w głąb mieszkania. Wróciła szybko, niosąc filiżankę mocnej, wonnej herbaty i talerzyk pełen kruchych ciastek.

Herbatę postawiła przed narzeczoną.

— Jedz, jedz, wcale nieźle ciastka. Są także z makiem, jak lubisz — podsuwała mu ciastka, spoglądając w oczy rozkochanym wzrokiem.

Różia z pewnem zdziwieniem patrzyła na przyjaciółkę. Jak ta Wandzia zmieniała się w obecności Rawicza. Ruchy jej stały się nerwowe, spojrzenie niespokojne, w mowie czuć dziwne podniecenie. Patrzy w niego z takim zachwytem, jakby go po raz pierwszy widziała w życiu.

— Czy i ja taka jestem przy Tadku? — zastanawiała się. — Chyba nie. Nasz stosunek jest jakiś naturalniejszy, bardziej przyjacielski. Tadek mniej słodki, mniej gładki, ale zato szczery i taki naprawdę mój... A ten piękny pan Kazimierz, tak mi się jakoś wydaje, jakby niezupełnie był szczery.

Nie potrafiłaby uzasadnić tej swojej opinii o przypuszczalnej nieszczerości narzeczonego Wandy. Było to wrażenie instynktowne, nie zaś wyrozumowane zdanie.

Nie mogła też powiedzieć, aby jej się Rawicz nie podobał, bo on się wszystkim kobietom podobał.

Z przyjemnością patrzyła na jego twarz o rysach szlachetnie, delikatnie rzeźbionych, z oczyma ciemno błękitnymi z szafirowym odcieniem, niby spokojna, tajemnicą nęcąca toń jeziora górskiego, z niedużemi, ponsowemi, pełnemi ustami, które zdawały się zawsze uśmiechać leciutko, trochę melancholijnie, a trochę figlarnie. Z upodobaniem słuchała jego głosu dziwnie sympatycznego, o ciepłych brzmieniach i umiejętnej modulacji.

Musiła mu też przyznać, że pomimo swej żurnalowej elegancji nie robi bynajmniej wrażenia wystawowej lalki krawca, czy fryzjera, ale człowieka w każdym ruchu, w każdej linii prawdziwie wytwornego i estetycznego.

I to, co Rawicz mówi, jest ciekawe, rozumne, zdradza dużą inteligencję, a jednak...

Różia nie mogła pozbyć się lekkiego niedowierzania wobec narzeczonego przyjaciółki.

Niemniej z zajęciem słuchała, jak on mówi o różnych rodzajach psychozy wojennej i upadku kultury podczas wojny.

— Ludzkość, opętana szaleńcem krwi, wyleża wszystkie swoje zasoby umysłowe na wymyślanie narzędzi mordy i zniszczenia. O! taki Edison pracuje teraz pono nad nową machiną wojenną... Kartagińczycy rzucali w paszczę Molochowi najpiękniejsze, najbardziej ukochane dzieci... Tak samo teraz Molochowi wojny rzuca się w gardziel najpiękniejsze dzieła ducha ludzkiego...

Zdanie to wygłaszał poważnie bardzo, głosem przyciszonym, jakby smutkiem zamglonym. Ale bokiem oczu spoglądał na Rózię i nagle strzeliły mu z pod powiek iskry tak palące, że dziewczyna odczuła to spojrzenie i drgnęła jak oparzona.

Brwi ściągnęły się jej w lekką fałdkę. Spuściła wzrok ku ziemi i przez cały czas nie spojrzała już na Rawicza.

— Jakaś ty to pięknie ujął... — zachwyciła się wywodami narzeczonego Wanda.

Różia milczała i niekiedy obrzucała Wandę ciepłym spojrzeniem. Rada była, że ta w tej chwili nie może czytać jej myśli.

Rawicz z ręcznie nakierował rozmowę z tematu ogólnego na bardziej osobisty. Jął opowiadać o przeszkodach i trudnościach, jakich z powodu stosunków wojennych doświadcza w swej pracy naukowej.

Pracuje nad rozprawą o wpływach włoskich na polską sztukę renesansową. Trzeba by pojechać do Włoch, zbadać pewne rzeczy na miejscu, trzeba wielu książek, rycin, których obecnie sprowadzić niepodobna.

(Ciąg dalszy nastąpi).